

Adam Wiaryga-Minieski.

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

4

— A ciocia nie będzie jadła jajek?

— Ja nie mogę jeść dużo na kolację. Szkodzi mi to. Ale ty jedź!... Nie mam wcale ochoty, żebyś się rozchorowała i kłopotu mi narobiła...

Józia chętnie, ze zdrowym, młodzieńczym apetytem zabrała się do jedzenia, bo, pomimo zmartwień, jeść jej się chciało.

Panna Antonina smarowała swoją kromkę chleba cieniutko masłem, nałożyła na nią plasterki sera i, wbrew zwyczajowi swemu, długą chwilę milczała. Może nie chciała przeszkadzać siostrzenicy w jedzeniu.

Dopiero, kiedy z jajek zostały tylko skorupki, ciocia odezwała się:

— Ze też ty nie boisz się sama chodzić wieczorem... Jeszcze cię kto zaczepić może...

— El! Ktożby mnie tutaj zaczepił... A choćby nawet, tobym sobie poradziła... Zresztą nie szłam sama...

— A z kim?

— Spotkałam przypadkowo Adasia Zmorskiego i on mnie odprowadził...

Stara panna klasnęła nagle głośno w swoje chude dłonie.

— Maciel... Jest... I nie mają ludzie mówić źle o tobie... Przekłamała... Znam ja te przypadki...

— No i znowu mnie ciocia posadza, że ja się z takim dzieciakiem umawiam... Ani mi się nawet śniło...

— Jeszczeby tego brakowało, żebyś się umawiała... Czy nie dosyć, że on wyrasta, jak z pod ziemi, wszędzie, gdzie się ty znajdujesz?... Włóczy się godzinami pod naszymi oknami, albo wygrywa swoje serenady na skrzypcach...

Po ustach Józji przewinął się filuterny uśmiešek.

— Ach! Jak on ślicznie gra... Doprawdy trudno, patrząc na niego, uwierzyć, że ten słaby, młodzieńki chłopiec może grać z taką siłą i takim przejmującym uczuciem... To artysta po prostu!

— El Brękolenie... — odpowiedziała lekceważąco panna Antonina, która na ogół nie miała wielkiego zrozumienia dla sztuki, a muzyki specjalnie znosić nie mogła — Mnie głowa nierzaz boli, jak słucham tego skrzypienia... Nie pojmuję, jak jego matka wytrzymać to może...

— Ależ, ciociu...

— A poza tem graniem kompletny osioł i próżniak z niego... Teraz szóstą klasę reputuje... I cherlak... Ciągłe choruje... Mnie się zdaje, że on suchoty ma... Więc to on cię odprowadził? Hm...

Panna Antonina, jakby nagle przecuciem tknięta, zerwała się z krzesła i pobięła ku oknu z takim pospiechem, że przewróciła po drodze jakiś taburet.

Odsunęła trochę firanki, uniosła storę i wyjrzała na ulicę. Chwilę spoglądała uważnie, jakby upafrując kogoś, czy czegoś.

— Naturalnie! — krzyknęła — przeczułam!... Jest... Włóczy się tu już pewnie niewiedzieć jak długo!... Masz twojego smarkatego wielbiciela!... Nie! Doprawdy, co ja z tą dziewczyną cierpię, to ludzkie pojęcie przechodził...

Józia jednym skokiem znalazła się koło ciotki.

— Co? I... On tam chodzi?... A to szalony chłopak!... Na takie zimno!... Wiatr!... Śnieg!...

Spojrzała. Ponieważ mieszkanie panny Korzewskiej było parterowe, więc można było dokładnie widzieć wysmukłą, ciemną, postać męską, która snuła się koło domu tam i z powrotem.

Z chwilą, kiedy Józia znalazła się przy oknie, postać zatrzymała się.

— Oczywiście! Stoi i gapi się w ciebie, jak sroka w kość... A już i tak jego matka dobrze o tobie się wyraża... Niech tylko synalek z twojej przyczyny przeziebi się i zachoruje, to ci jeszcze lepiej podziękuję!

— Ciocia ma słuszość!... On się może przeziebić!... Musi natychmiast iść do domu!... Ja mu powiem!...

Zanim ciocia zdążyła się zorientować, co się dzieje, już Józia porwała jej szal, narzuciła go na ramiona i, nie okrywając niczem głowy, jak wicher wypadła z mieszkania.

Panna Antonina, która tak gwałtownej reakcji ani oczekiwała, ani pragnęła — załamała ręce.

— Józka!... — wrzasnęła — Waryatko!... Co robisz!... Przeziebisz się!... Sąsiedzi!...

Ale Józia nie słyszała tego, bo już była na ulicy.

Wysoki, szczupły, bardzo młody, siedemnastoletni może chłopiec, w gimnazjalnym płaszczu, stał wsparty o jedyną na tej ulicy latarnię i spoglądał w oświetlone okno mieszkania panny Antoniny.

Wiatr dał silnie i wilgotne płatki śniegu wirowały w powietrzu.

Chłopiec zakaszał nagle.

— Panie Adamie! — ozwał się głos Józji.

Chłopiec drgnął i szybko zerwał kapelusz z jasnych, gęstych, z jakąś „artystyczną” niedbałością zaczesanych włosów.

Ściągnął, bladą, mizerną twarz o subtelnie wykrojonych ustach, nad którymi nie widniał jeszcze puch męskiego zarostu i o marzycielskich szarych oczach — rozjaśnił wyraz nagłego uszczęśliwienia.

— Panie Adasiu! Co pan tutaj robi!... Co to znaczy?... — irytowała się Józia, otulając się mocniej szalem — Pogniewam się doprawdy!... Proszę iść natychmiast do domu!...

Chłopiec dziwnie ujmującym gestem złożył ręce, jak do modlitwy.

— Niech się pani nie gniewa! Powiedziałem sobie, że to będzie dobry znak dla mnie, jeżeli jeszcze raz panią dzisiaj zobaczę...

Józia sama nie wiedziała, czy się ma śmiać, czy gniewać. Trochę jej przytem pochlebiało bezgraniczne uwielbienie młodocianego artysty, a więcej jeszcze była rozczulona jego pokorą i wdziękiem.

— No, to już pan mnie zobaczył! Niech pan w tej chwili idzie!...

— Tak pani każe? — zakaszał znowu.

— Każe!

— Jestem posłuszny odchodzę. — ślicznym, miękkim ruchem pochylił głowę, jak paź, przyjmujący rozkazy królowej. Ale nie odchodził jeszcze.

— Panno Józju, jeżeli jutro będzie pogodniejszy dzień, otworzę okno i będę grał... dla pani!...

— Dobrze, dobrze... Panie, pan tutaj jeszcze jest?!

— A co mam grać?...

— Co pan chce! Panie Adasiu, na miłość Boską, proszę iść!...

— Nauczyłem się teraz nowej pieśni do słów Heinego: „Ty jesteś jak kwiat piękny, czysty, powiewny”...

— Czy pan chce, żebym się przeziebiła przez pana?...

To poskutkowało nareszcie. Adaś uklonił się raz jeszcze i szybko przemknął przez ulicę.

Józia odetchnęła z ulgą, widząc, że zniknął w bramie przeciwległego domu.

— Szalony chłopak — pomyślała — ale bardzo miły!... Jaki on różny od swoich kolegów... Taki delikatny... wrażliwy... Może dlatego, że artysta... No, ale dzisiaj to mnie urządził. Będę ja miała pasztet od cioci.

Panna Antonina przywitała ją z załamaniami rękami, z oczyma rozszerzonymi przerażeniem, z twarzą zrozpaczoną.

— Józka — jęknęła — coś ty znowu najlepszego zrobiła!... Widziałam, jak Pieprzykiewiczowa odsuwała storę i patrzyła!... Jutro całe miasto będzie się trzęsło od plotek!

— Więc cóż, miałam mu pozwolić, żeby dalej stał na ulicy?

— Ale dlaczego ciebie to się zawsze musza czepiać jakieś awantury?! Paniomkom, które się zachowują, jak należy, coś podobnego się nie zdarza. Ja tego znosić dłużej nie będę, to się musi raz skończyć!

— Oby się skończyło jak najprędzej! — westchnęła Józia.

Myślała wszakże o zupełnie Innem, niż ciocia, zakoficzeniu.

— Jak ty wyglądasz! — strofowała dalej ciocia — Na sukni pełno śniegu, poplamisz mi dywan! Włosy mokre, rozczochrane. Idź zaraz do mojego pokoju... Uczesz się porządnie i włóż świeżą bluzkę...

— Teraz? Po co?!

— Pan Pietraszek obiecał, że zajrzy do nas na chwilę po kolacyi.

Teraz Józia zrobiła zrozpaczoną minkę.

— Ten nudziarz! Znowu?!

Ciocia, która zaczęła sprzątać ze stołu, przewrała swoją robotę i spojrzała na nią ostro.

— Proszę! Nudziarz... Może chcesz, żebym

ci tutaj jakich młokosów, mydlików, wiercipiętów spraszała...

— Wcale nie myślę o tem, żeby mi ciocia kogokolwiek zapraszała. Miział!... Miział!... Miział!... — zawołała na kota, który wykonywał niesłychanie szybkie skoki po pokoju, wzywając w ten sposób do zabawy ze sobą.

— Proszę cię, zostaw Mizię w spokoju i idź się przebrać. Chcę, żebyś przyzwociła wyglądała i żebyś się zachowywała grzecznie i uprzejmie wobec pana Pietraszka.

— Zupełnie nie mam zamiaru zachowywać się jakkolwiek względem niego, tylko zrobię tak, żeby mnie nie było.

— Jakto?

— Pójdę sobie do pokoju cioci i zamiast słuchać jego nudnych bajdurzeń, poczytam coś przez ten czas.

— Nie zrobisz tego!

— Dlaczego? — zapytała Józia, tonem, który przekonywał dobitnie, że właśnie to, co zamierza, wykona istotnie.

— To byłoby bardzo niestosownie.

— Ciocia mu powie, że mnie głowa boli i koniec.

— Głupie gadanie!... Opatrzność Boska czuwa nad tobą, zysła ci niespodziewane i niezasłużone szczęście, a ty je chcesz własnowolnie, przez głupie widzimisię, podeptać!

Panna Antonina uprzątnęła ślady kolacyi ze stołu i zabrała się znowu do swojego szalika.

Siostrzenica spoglądała na nią oczyma, rozszerzonymi zdziwieniem.

— Jakie szczęście?... O czem ciocia mówi?... Nie rozumiem.

— Naturalnie, jeżeli jakiś młokos, gołowąs, przewraca do ciebie oczyma, jeżeli jakiś wylegantowany wiercipięta, jakiś wygadany fircyk prawi ci nonsensy, to ty to zaraz spostrzeżesz. Kiedy zaś porządny, stateczny, odpowiedzialny człowiek daje ci do poznania, że gołów się starać o ciebie, to wtedy nie rozumiesz.

Józia podeszła do pułki, napełnionej książkami i brała do ręki jeden po drugim grubsze i cieńsze tomiki w różnokolorowych, papierowych okładkach.

Przy ostatnich słowach ciotki przestała oglądać książki, odwróciła głowę ku pannie Antoninie i nagle wybuchnęła śmiechem:

— Ależ ciocia dzisiaj usposobiona do żartów! Doskonałego mi ciocia męża wynalazła!

— Powinnaś na tę intencję codziennie odmówić nowennę do św. Antoniego. Takie niesłychane szczęście dla ciebie!

— Dziękuję ślicznie za takie szczęście, nie jestem godna! Ciociu, zmiłujże się ciocia! Toż on jest łysy, ma krzywe nogi i mówi przez nos. Mógłby z pewnością być moim ojcem i do tego ma jeszcze dwoje obrzydliwych, skrofalicznych, wrzaskliwych bachorów.

— Józka! Jak się ty wyrażasz!... Gdzie się ty takich wyrażań nauczyłaś!... Głupia jesteś!...

— Ciocia mi to tyle razy powtarza, że, doprawdy, gotowam zgłupieć...

— Pan Pietraszek — ciągnęła dalej panna Korzewska — jest człowiekiem ze wszech miar godnym szacunku. Przytem ma dobrą, stałą posadę. Jest nadoficyałem pocztowym.

— O tem pamiętam. Bo jeżeli przypadkiem zapomni się powiedzieć mu, panie nadoficyale, to robi taką minę, jakby mu kto na najboleśniej-szy nagniotek nadeptał.

— Należy mu się ten tytuł. Zdobyl go zasługą i pracą. Otóż pan Pietraszek może zapewnić żonie wygodne utrzymanie. Na wypadek jego śmierci, żona ma zabezpieczoną przyszłość, bo dostanie pensję.

— Ja tam nie spekuluję na jego śmierć. Niech sobie żyje do stu lat i nawet dłużej, jeżeli mu się tak podoba.

— Przestań! Zdaje ci się, że jesteś dowcipna, a twoje koncepty są głupie i niesmaczne! Jesteś strasznie źle wychowana. I doprawdy, aż dziwić się trzeba, że człowiek tak poważny i rozumny, jak pan Pietraszek, mógł o tobie...

— Wie ciocia, że i ja się także dziwię...

— Nie przerywaj! Powtarzam, to szczęście niespodziewane, niesłychane!... Dla dziewczyny bez posagu i w dodatku po takich kompromitujących awanturach!...

Józia, z charakterystyczną dla siebie zmiennością humoru i usposobienia, nie rozgniewała się tym razem ani też obrażała. Przeciwnie, w jasnych jej oczach zamigotały filuterne, wesołe ogniki.